




ב

bet

Nim jeszcze oczy Maksyma przyzwyczaiły się do blasku, obok zmaterializowała się szeroka, dwukonna, czarno obita dorożka. Mężczyzna na koźle nie miał szans go spostrzec, siedział rozparty swobodnie z czapką nasuniętą na twarz i głupawym uśmiechem. Lejce wisały luźno, a dwa kasztanki o grubych nogach i beczkowatych tułowiach szły naprzód wedle własnej woli. Maksym był pewien, że przejdą po nim bez zastanowienia.

Cofnął się w ostatniej chwili, zahaczył piętą o krawężnik, upadł na tyłek.

Powóz przetoczył się obok, a szprychy wysokich drewnianych kół mignęły Maksymowi przed nosem, tnąc świat na stroboskopowe migawki.



– Coś ty, zdurniał? Patrz, kurwa, gdzie jedziesz! – ryknął, wstając.

Zdziwiło go, jak inaczej brzmiał głos w tym miejscu. Był spleaszczony, wypatroszony ze wszystkich przydźwięków i wypchany watą.

Ten na koźle spojrzął za siebie tępyim wzrokiem, ale nie odpowiedział. Tył dorożki zaczął powoli rozta-
piać się we mgle.


Mgła. Swoją jednorodnością sprawiała wrażenie, że samo powietrze ma tu biały kolor. Za mleczną zasłoną po obu stronach ulicy majaczyły trzypiętrowe kamienice. Oczy gipsowych Artemid w togach, amorków, tytanów dźwigających balkony patrzyły w dół, na ulicę, na Maksyma.

Nawet nie wiedział, że tak może wyglądać kamienica – domy nie miały na sobie ran czasu, rozległych łysin, z których odpadł tynk, dziur po kulach, warstwy brudu i sadzy. Ale nie były też pomalowane na jaskrawy kolor, jak makiety dla turystów stojące wokół rynku. We wszystkich oknach były firanki, a przed oknami – wymyślne bariery z kutego żelaza, które więziły na sobie wzrok, tak że spojrzenie szło po froncie powoli, niespiesznie, zatrzymując się na każdym detalu. Wzdłuż ulicy paliły się gazowe lampy na smukłych kolumnach z kutego żelaza.

– Alicja po drugiej stronie pieprzonego lustra – mruknął Maksym. – I gdzie ty mnie zaprowadziłaś, pokrako?

Mechaniczny pajak wydał z siebie serię niezrozumiałych pisków.

Pierwsza myśl: cofnąć się, sprawdzić, czy nic nie odcina drogi ucieczki. Wrócił do bramy, z której dopiero co wypadł – drzwi wciąż były uchylone, za nimi




widniał długi, ginący w mroku korytarz. Biły z niego smród i wilgotne ciepło, sama idea, by się tam zapuszczać, napawała odrazą.

Druga myśl: sprawdzić, czy jest przytomny. Uderzył pięścią w brązowe drewniane skrzydło, mocno, zdecydowanie. Efektem był głuchy huk i tępy ból kłykci, doprowadzony lekkim pieczeniem obtartej skóry.

Na tym skończyły się Maksymowi pomysły. Patrzył to na ulicę, to na pająka, nie rozumiejąc, co powinien ze sobą począć. Maszyna zaś wyraźnie nie chciała mu pomóc w tym dylemacie, zamarła zupełnie, jakby wykonała swój program do ostatniej linii.

Z wolna Maksym ruszył ulicą. Wkrótce zobaczył przed sobą okrągły plac otoczony przez takie same domy, z fontanną na środku; woda ciekła z dzbana nimfy, rozchlapując się w kamiennej misie. Dźwięk ten zdał mu się dziwnie kojący, dzięki niemu otoczenie było mniej straszne, nieludzkie. Ale gdy zastanowił się nad tym wszystkim, niepokój powrócił – Maksym doszedł bowiem do wniosku, że szum wody był po prostu jedynym odgłosem, jaki słyszał od spotkania z woźnicą. To miasto było nieme, martwe jak rój, z którego uciekły wszystkie pszczoły, a królowa zdechła tak dawno, że został po niej tylko chitynowy pancerz w labiryncie pełnym wyschniętych larw.

Kusiło go, żeby zajrzeć do którejś z bram, zastukać w dowolne drzwi i poszukać ludzi. Jednak myśl o wchodzeniu do wnętrz budynków budziła w nim trudny do sprecyzowania opór, zupełnie jakby wędrówka przez długi, gorący i duszny tunel nieuleczalnie zraniła jego podświadomość. Zdecydował się pójść ulicą.




Skreślił w lewo, minął ogrodzenie, za którym tonął we mgle park pełen wysokich klonów, aż w końcu zobaczył, że z naprzeciwka idzie w jego stronę starszy, dystygowany mężczyzna.

Ów człowiek miał na głowie melonik, nosił ciemny surdut oraz koszulę ze sztywno postawionym kołnierzem. Szedł niespiesznie, machając nad ziemią spacerową laską, a jego dobroduszna pomarszczona twarz rozciągnięta była w szerokim uśmiechu. Krótko przyścięty wąsik jak przyklejony pod nosem pędzel krył częściowo blade wąskie wargi, które wydymały się, nucąc operetkową arię.

Dopiero teraz oszołomiony Maksym zastanowił się nad tym, co to właściwie za miejsce. Chłodno ocenił, że pewnie cofnął się w czasie, i sam się zdziwił faktem, jak lekko ta myśl przyszła i jak gładko ją przyjął. Takim rzeczom dziwili się już widocznie tylko bohaterowie filmów i książek, które pracowicie przyzwyczyły ludzkość do każdej okoliczności, od ataku zombie po kosmiczną katastrofę, podobnie jak ponure malowidła średniowiecza oswajały kiedyś ze śmiercią, z Sądem Ostatecznym. Maksym nagle przypomniał sobie nazwę, którą gdzieś wyczytał – zespół stresu postmodernistycznego. Dotyczyła osób takich jak on, które wychodziły poza swoją strefę komfortu tak często, że starły jej próg aż do ziemi; osób, których nic już nie mogło zaskoczyć.

Podróż w czasie? Nic nowego, w głowie natychmiast zaroiły się internetowe dyskusje o różnych jej koncepcjach, od teorii wewnętrznej spójności Igora Novikova oraz paradoksu predestynacyjnego po teorię giętkiego



czasu. *Powrót do przyszłości* walczył o palmę filozoficznego pierwszeństwa z *Terminatorem* i *Więźniem Azkabanu*. A Maksym miał z tym tylko jeden problem – pomysł był zupełnie bez sensu.

Czy nawet sto lat temu miasto mogło tak wyglądać? Pamiętał jeszcze czarno-białe dagerotypy z końca dziewiętnastego wieku, które widział w muzeum – przedstawiały zgoła odmienny obraz: ulice pokryte warstwą gnoju i odpadków, niechlujne szyldy, drewniane przybudówki, miejska biedota, handlarze starzyzną, przekupki, witryny rzemieślniczych warsztatów, wałęsające się psy. Gdzie to wszystko?

Spacerowicz zdawał się nie dostrzegać Maksyma aż do ostatniej chwili, gdy ten zagroził mu drogę. Wtedy mężczyzna stanął. W jego oczach nie było strachu, tylko absolutny brak przytomności – były jak martwe, szklane protezy.

– Dobry... – tu Maksym zaciął się, nie wiedząc nawet, jaka to pora dnia. – Gdzie... Gdzie właściwie jesteście? Co to za ulica?

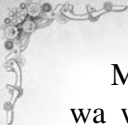
– Zgubiłeś moment? – Głos starego lekko drżał, miał jednak przy tym wyraźny kresowy akcent, jak z filmów z dwudziestolecia.

– Słuchaj, człowieku. Ja ci nic nie chcę złego... Zgubiłem się. Powiedz mi tylko, w jakiej części miasta jesteście... Albo lepiej, który mamy rok?

– Jesteś od niego? – spytał strachliwie mężczyzna.

– Jestem z drugiej strony, no wiesz, bramy. Uciekałem przed policją i trafiłem tutaj, czyli właściwie gdzie?

– Musisz być od niego, masz w sobie nietrwanie. Bo czemu inaczej?



Maksym pomyślał, że to w gruncie rzeczy uczciwa wymiana. Głupie pytanie za głupie pytanie. Tyle że to mogło się jeszcze długo ciągnąć, a on już teraz miał ochotę chwycić staruszkę za poły surduta i solidnie potrząsnąć.

– Musisz być od niego – mamrotał dalej mężczyzna.

– Nie wiem, o co ci chodzi!

– Złamałeś moment, wciągasz mnie w nietrwanie, co ci zawiniłem, panie złoty, dlaczego?

– Odpowiedz mi, bo zaraz...!

– Nie powinienem z tobą rozmawiać – odparł staruszek, po czym spuścił oczy i bezceremonialnie przepechnął się obok Maksyma. – Muszę wrócić do momentu, zapomnieć...


Laska zastukała w rytm przyspieszonego kroku. Buty ślizgały się na wilgotnym bruku. Lampa gazowa rzucała na wysoki ceglany mur po drugiej stronie ulicy nieme przedstawienie: jeden cień stał bezradnie z opuszczonymi rękoma, drugi odchodził, oglądając się niepewnie za plecy.

Frustracja. Maksym czuł, że wzbiera w nim złość, chciał odpowiedzi, teraz, zaraz, bał się zostać sam na tej dziwnej ulicy, w onirycznej krainie, z której nie potrafił znaleźć wyjścia. Ruszył za mężczyzną i zdecydowanym ruchem położył mu rękę na ramieniu.

– Nie łam momentu, nie łam – tamten rzekł błagalnie, kurcząc się w sobie.

Resztki dystygowanego tonu zniknęły, był teraz dzieckiem, bitym przez rodziców z niezrozumiałego dla siebie powodu.

– Słuchaj, jestem tak samo zdziwiony jak ty. Nie wiem, jak tu trafiłem, pomóż mi tylko, potem dam ci spokój.



Oczy starca, teraz już nie szklane, tylko pełne strachu, spojrzały mu prosto w twarz.

– Odejdź. To nie może być przypadek. Pojawiasz się zaraz po tym, co zrobili księżnej? Uparliście się nas skończyć? – pisał.



Wyrwał się raz jeszcze i rzucił się do przodu pokracznym biegiem.

Maksym chwilę myślał, czy nie ruszyć za nim, ale szybko zrezygnował. Wkrótce był sam na cichej, mglistej uliczce. Miał już pójść dalej, kiedy po lewej spostrzegł ruch. Odwrócił się błyskawicznie, wbijając wzrok w boczny zaułek. Zdawało mu się, że mignęła tam jakaś wysoka, złowieszcza sylwetka w czarnym stroju, przed którą mgła zaciągnęła natychmiast swoją kurtynę. Czuł jeszcze na sobie spojrzenie obcego – lodowate, groźne. A jego twarz...

Serce Maksyma przyspieszyło. Znieruchomiał, próbując wyłowić z morza gęstej ciszy jakiś dźwięk. Ale wokół nie było nikogo, słyszał tylko własny świszczący oddech.

Zapanował nad tętnem, odegnał pytania, huczące w głowie jak rój dokuczliwych pszczoł. Pamiętał jeszcze szkolenie dla poborowych IDF, które miało przygotować go na niewyobrażalne, na zamach terrorystyczny ogromnej skali, na wojnę światową, na ogniste *shoah* całego narodu. Wiedział, jak działać: przede wszystkim nie pozwolić dojść do głosu świadomości, temu panikarzowi, który potrafi ulepić ze strachu, niewiedzy i niepewności milion bzdurnych teorii. Najpierw – ocenić sytuację.


Wziął jeszcze kilka oddechów, a potem ruszył w dół ulicy, niepewnie rozglądając się na boki.




Obcy ruszył w dół ulicy, niepewnie rozglądając się na boki, a czarno odziany mężczyzna patrzył za jego wąskimi, zgarbionymi plecami, czując, jak wzbiera w nim wściekłość. Co tu robił? Dlaczego przyszedł? Pięści mężczyzny zaciskały się i siniały, jakby wezbrane żółcią, sokami czystej złości. Miał ochotę naprawić wszystko, pójść za obcym, znieacka uderzyć go kolanem w nerki, powalić na ziemię i tłuc, tłuc głową o bruk, tłuc, aż poczuje, że czaszka pęka mu w dłoniach.

Odetchnął głęboko, wypuszczając powietrze ustami. Próbował się uspokoić. W końcu biedny idiota nie był winny. W każdym razie nie bardziej od niego. Ale nie mógł pozwolić, żeby narobił tu szkód, dlatego kiedy tamten zniknął już we mgle, mężczyzna ruszył za nim. Czarny płaszcz pozwolił mu wtopić się w cieniu. Na twarz naciągnął chustę, żeby nie świeciła trupa bielą.

Śledził przybysza, próbując ułożyć sobie wszystko w myślach i znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie: powinien go zabić czy pozwolić mu żyć?




Tego pamiętnego wieczora, trzynastego maja 1867 roku, jak co sobotę grali w karty na zapleczu składu starego Berghajma. We czterech, siedząc na pakach



z towarem, tłoczyli się wokół stolika, który z frontu przyniósł Jan Słuka, Berghajmowy subiekt. Był on zarazem ojcem założycielem Klubu Nicponiów – garstki połączonej tym, że kochali karty, a pracowali ciężko i za małe pieniądze, o czym przy kartach potrafili z lubością rozprawiać.

Słuka był legendarnym leniem, wsławionym tym, że w pracy sypiał nawet na stojąco i często nieświadomie straszył klientki składu, które podchodziły pytać go o radę, by po chwili uciec z piskiem, myśląc, że skołał oparty o regał, z wywróconymi oczyma i strużką śliny ciekącą z kącika ust. Mimo tego Słuka zdołał jakoś przekonać właściciela, Izaaka Berghajma, że jest nieodzowną podporą sklepu, człowiekiem niezastąpionym, który załatwia dosłownie wszystko, i że gdyby nie dźwigał na karku ciężaru stu jeden tajemniczych codziennych spraw, interes natychmiast by upadł.

Obok niego siedział stary Eustachy Różewicz – majster w pobliskich zakładach metalowych, zawsze wyprężony jak struna za sprawą służby, którą przeszedł w austriackiej armii. Siwiejącą czuprynę pomadował do błysku i rozdzielał na pół idealnym przedziałkiem, wąsy stroszył grzebieniem ku górze. Co jakiś czas zerkał na swój złoty zegarek, ale bynajmniej nie dlatego, że spieszył się do swojego domku przy fabryce, do ładnej żony i czwórki dzieci. Zegarek dostał od pewnego inżyniera w podzięcie za uratowanie życia i był z niego tak dumny, że przez lata wyrobił sobie gest wyciągania chronometru przy każdej możliwej okazji, gładkim ruchem arystokraty w dziesiątym pokoleniu. Nawet jego gruba twarz stawała się poważna i dostojna




na tę krótką chwilę, gdy zerkał na wskazówki czasomierza.

Kiedy nie patrzył akurat na zegarek albo nie mamrotał czegoś pod wąsem, miętłąc karty, opowiadał głośno o niegodziwościach Bismarcka i o tym, jak to nieodzownie i nieodwołalnie wybuchnie wojna między Prusami a Anglią. Wykładając swoje dowody, walił pięścią tak mocno, że stół aż trzeszczał.

W porównaniu do Eustachego Różewicza dwaj mężczyźni siedzący naprzeciw niego zdawali się spokojni jak anioły. Mikołaj Sztajmer, czarnowłosa, wysoki jak tyka młodzieniec z eleganckim wąsem, pracował jako rachmistrz w banku Saltzerów. Zdawał się znać każdą plotkę i każdą poufną wiadomość o tutejszych przemysłowcach. Często zabawiał towarzystwo opowieściami o tym, kto chyli się ku plajcie, kto ma jaki dług, kto dał ile weksli i kto je wykupił, niepomny na to, że gdyby jego pracodawca dowiedział się, jak lekką ręką Mikołaj rozdaje pilnie strzeżone sekrety, najpierw pozbawiłby go skóry na plecach (Saltzer zwykł tłuc krnąbrnych klerków różgą), a potem – pracy.

Czwarty i ostatni był Maurycy Kutz, student o twarzy bladej i gruźliczej. Był tak wymizerowany, że zdawało się, iż byle podmuchał go na ziemię. Na grzbiecie miał łataną kapotę, która tylko uwypuklała jego ptasie łopatki. Każdą opowieść Mikołaja o plajtach i długach kwitował krótkim „I dobrze mu!” albo „Niech zdycha!”. Maurycy był bowiem żarliwym socjalistą, jedynym w tym gronie, za co często spotykały go szyderstwa, które z kolei prowokowały u niego ogniste tyrady, witane przez resztę z jeszcze większym rozbawieniem.



– Grajże, człowieku, bo mi tyłek w krzesło wrośnie!
– Różewicz pogonił Janka Słukę.

– Nie w krzesło, a w sto pudów bombazynu liliowego, drukowanego w skowronki, pierwszy sort. Dla tyłka to nie lada ozdoba – zadrwił Słuka. – Mikołaj?

– Figur bierze figur, jak mawiał święty Igór. – Karta wylądowała na stole.

– Ty się nie napinaj tak, Mikołajku, bo ci żyłka w czole pęknie. A jak nie masz żołądździ, to cię mocno zaswędzi.

– Szóstka pik.

– Może cofnij tę kartę, Maurycku, bo ja dla ciebie nie chcę źle, serce mi pęknie, że ci od ust odbieram jutrzejszy obiad.

– A co ty wiesz. Gra w piki daje wyniki! – zaśmiał się Maurycy.

– Mikołaju drogi, weź mu skórę przetrzep, bo ja nie mam czym.


– My, Polaki, musimy trzymać się razem. Karo cię zrobi na szaro. – Mikołaj rzucił na stół dwie karty.


– My, Polaki? – zaśmiał się Jan. – Twoja matka była rosyjska Żydówka, a ojciec niemiecki bauer. Co z ciebie za Polak?

– Ano większy niżli z ciebie – wydał usta Mikołaj.
– Bo z wyboru, nie z musu.

– To zdradź mi jeszcze, co to za interes samemu się mienić Polakiem? – Różewicz rzucił kolejną kartę.

– Przecież Żydzi i Niemcy przynajmniej się trzymają razem, jeden drugiego kredytem wspomocze albo do interesu dopuści. A u nas? Dwóch było w tekstyliach ważnych rodaków: Bieliński i Hańko. I tak się zaperzyli,





tak zajęci byli trzebieniem siebie nawzajem, że ich konkurencja zjadła. Ty byś lepiej zrobił, jakbyś się w innym towarzystwie obracał.

– A to nie wiesz, że Żydzi w karty nie grają, a z Niemcami słabo się pije? Masz za swoje, Janek! – Mikołaj wyłożył z rozmachem dwie karty. – Jużes zapomniał? Mówiła matula, nie wychodź spod króla!

– A całuj psa w nos, ja już wiem, co ty masz na ręce. Do portków cię skroję. Ty usłysz chociaż, jak ty mówisz „Polacy”. „Paljaki”! „My prawdziwe Paljaki” – zaczął go ze śmiechem przedrzeźniać Janek, a dwaj pozostali się dołączyli:

– Paljiaki!

– Paaaljaaki!

– A kpijcie sobie, na zdrowie – odparł Mikołaj. – Zazdrościcie, że mi rodzice dali szeroki wybór, po uważaniu mógłbym robić za Rosjanina, Żyda, Niemca albo Polaka. A twoja kartoflana gęba i wąs chłopski, Eustachy, to jaśniejsze od wpisu w cenzurze.


– Wąs nie chłopski, a szlachecki! Jakbyś był prawdziwy Polak, to byś poznał!

– Gdzie tam szlachecki, wąs patriotyczny, piastowski – zaśmiał się Janek. – Niczy...

Przerwał, bo na dworze, gdzieś nieopodal, rozległ się krzyk tak przeciągły, zwierzęcy, że jak nóż uciął rozmowę i śmiechy. Maurcy pobladł, Mikołajowi wypadły z dłoni karty.

– Ki diabeł? – wycodził przez zęby Różewicz.

Cała czwórka spojrzała w napięciu na uchylone drzwi, za którymi rozciągała się mroczna i wąska alejka. To stamtąd słyszeli krzyk. Z dala dochodził odgłos



dorożek na głównej ulicy, gdzieś w oddali zaświszczał fabryczny gwizdek, obwieszczając koniec długiego dnia pracy. Przez chwilę zdawało się, że padli ofiarą zbiorowego złudzenia.

– Myślę, że... – zaczął Janek.

Krzyk powtórzył się, jeszcze głośniejszy. Zdawał się strzępić na setki chropowatych włókien, które wnikały głęboko w ucho, grzęzły w mózgu upiornym echem. Żaden z nich nigdy takiego krzyku nie słyszał, nie przypuszczali nawet, że taki krzyk mógł istnieć, i bali się myśleć, kto i dlaczego mógł tak krzyczeć. Maurycy mężczył się z przełknięciem śliny, bo gardło nagle ścisnęły mu żelazne kleszcze. Słuce zaczęły drzeć dłonie.

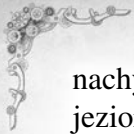
– To być nie może... – szepnął. – Przecież to z końca zaułka.

– No i?

– Uliczka jest ślepa. Widziałbym przecie, gdyby ktoś tam szedł...

Może gdyby mieli chwilę do namysłu, uznaliby, że bezpieczniej zamknąć drzwi i zapomnieć – w mieście morderstwa zdarzały się często: a to pijak zatłukł żonę, a to dwóch robotników chwyciło po wódce za noże. Ale nie dostali okazji, bo przywództwo natychmiast objął Różewicz. Zerwał się z krzesła, wystrzelił na uliczkę i popędził w stronę odgłosu. Reszcie nie zostało nic, jak tylko ruszyć za nim.

Za sklepem był zaułek, który kiedyś prowadził na ulicę Zawrocką – do czasu, gdy Steinbuch wykupił cały kwartał starych czynszówek i zrównał je z ziemią, by zrobić miejsce dla parowej tkalni. Teraz ulica kończyła się wysokim fabrycznym murem, a że była lekko




nachylona, z czasem pod ścianą zebrało się prawdziwe jezioro ścieków, nieczystości i śmieci. W tym bajorze na tle ceglanej ściany, w bladym świetle księżyca, który przenikał smoliste chmury, spostrzegli postać.

Jakiś człowiek klęczał w cuchnącej brei, wył jak wilk i tłukł pięściami w mur, tłukł bez opamiętania, do krwi, aż na ścianie zostały ciemne smugi. Ubrany w podarte szmaty, wyglądał jak średniowieczny biczownik – krótkie włosy zlepily mu brud i zaschnięta krew.

Chwilę stali na granicy wody, jakby w obawie, że to ciemna toń zrobiła nieznanomemu coś straszego. Pierwszy przemógł się znów Różewicz. Nie bacząc na glancowane buty ze świńskiej skóry ani nogawki swoich spodni, prasowanych w ostry jak brzytwa kant, wszedł do bajora, zapadając się natychmiast po łydki. Jan ruszył za nim, a Mikołaj i Maurycy zostali na brzegu, drepcząc niespokojnie.

Dobrnąwszy do obcego, majster położył mu rękę na ramieniu i chciał o coś spytać, ale zamiast tego odskoczył jak oparzony. Z bliska, w szarej poświacie księżyca, która odbijała się od mokrych cegieł i kałuż szlamu, zobaczył, że skóra obcego stroszy się gruzłami niezliczonych blizn. Pokrywały całe ciało, łącznie z twarzą, na której siatka białych zgrubień wyglądała jak tłusta pajęczyna. Jedna powieka mężczyzny lekko opadała, oczy były puste, szalone.

– Bracie! Kto ci to zrobił? Ktoś cię napadł? – Różewicz uchwycił go pod pachami i próbował unieść do góry, ale nogi mężczyzny były jak z waty, niemal natychmiast opadł w brudną wodę, opryskując nią wszystkich wokół.



– Widzisz przecie, Eustachy, że to stare rany. – Jan z ciekawością obszedł nieszczęśnika, a potem spytał głośno i wyraźnie:

– Słyszysz, kolego? Skądżeś? Co tu robisz? Coś ci dolega?

Nie było odpowiedzi. Różewicz kolejny raz spróbował postawić mężczyznę na nogi, ale tym razem oparł go o mur, dzięki czemu obcy zdołał utrzymać się w pionie.

– Może nas nie rozumie? – rzucił Maurycy z bezpiecznej odległości.

– *Sind Sie Deutsch? Gawarisz pa ruski?* – spytał Mikołaj.

– Daj spokój, przecież widzisz, że jest trącony na umyśle – oparł Jan.

Wtedy Bezimienny odwrócił do nich głowę. Drgnęli, po raz pierwszy widząc, że jego oczy zogniskowały się, że spostrzegł ich obecność.

Wybełkotał coś szybko, nieskładnie.


– Co mówisz, bracie? – nachylił się ku niemu Różewicz.

– Kaarraaa! – zawył obcy. – Ja muszę... Muszę...

– Za co kara? Co ci się stało, przyjacielu drogi? – nachylił się do niego Jan.

Odpowiedziało mu tylko nieartykułowane łkanie. Nieznajomy to pokazywał mur, to siebie, potem chował twarz w dłoniach i zanosił się szlochem. I nic, poza kilkoma pozbawionymi ładu słowami, nie zdołali z niego wydobyć.

– Co robimy? – przestraszonym głosem spytał Maurycy.



– To wariat! Trzeba go na policję zaprowadzić, może go wezmą do azylu – prychnął Słuka.

Różewicz pokręcił głową.

– Tfu! Nie wstyd ci takie rzeczy gadać? Rodaka chcesz oddać na zmarnowanie?

– Skąd wiesz, że rodak?

– Gadał po polsku, nie? Może tylko chwilowo mu rozum pomieszało, dam go raczej do Ratajskiego, a potem obaczym.

– I tam go niby nie zmarnują?

– Tam mu przynajmniej głowy kroić nie będą.

– U Ratajskiego o tej porze już dawno zamknięte – szepnął z tyłu Maurycy.

– To na noc go wezmę do domu, prześpi się w składowiku, a jutro z samego rana go odstawię.

– Nie boisz się takiego dziwaka brać do siebie? – Jan nachylił się i ściszył głos. – A jak to zwyrodnialec? Jak ten dusiciel z Francji?

Różewicz wzruszył ramionami.

Za nimi obcy płakał jak dziecko, opierając czoło o mur.

